ROCZNIKI POLSKIEGO TOWARZYSTWA MATEMATYCZNEGO
Seria II: WIADOMOŚCI MATEMATYCZNE XXVII (1986)

wmptm 1897

Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego

Kącik językowy

W dniach 2 i 3 marca 1984 r. odbyła się we Wrocławiu sesja poświęcona językowi i terminologii polskiej w matematyce, zorganizowana przez Sekcję Terminologii Nauk Ścisłych Komitetu Terminologii PAN oraz Oddział Wrocławski PTM.

Uczestnictwo około 60 osób z Wrocławia i kilku innych ośrodków oraz żywe dyskusje — to świadectwo zainteresowania większego niż wcześniej przypuszczano, gdyż na co dzień matematycy mówią rzadko o tych sprawach.

Wygłoszono 11 referatów:

S. Hartman, *Refleksje nad polszczyzną matematyczną.*
A. Opolski, *Zasady tworzenia terminologii.*
R. Duda, *O słowotwórstwie matematycznym*[1].
L. Jeśmanowicz, *Bank informacji terminologicznej.*
A. Schinzel, *Terminologia polska w teorii liczb.*
W. Zawadowski, *Figury stylistyczne w matematyce.*
Z. Semadeni, *Nieadekwatność języka mnogościowego.*
A. Mąkowski, *O terminologii algebraicznej i nie tylko.*
J. J. Charatonik, *Kilka uwag o terminologii w matematyce.*
W. Nitka, *Terminologia „Poradnika matematycznego".*
Z. Saloni, *O przestrzeganiu norm językowych.*

Niektóre z tych referatów publikujemy. Chętnie będziemy też drukować opinie naszych czytelników o poruszanych tu tematach.

S. Hartman (Wrocław)

Refleksje nad polszczyzną matematyczną

Nasza konferencja jest laicka. Tylko bardzo niewielu jest ludzi, którzy mają jednocześnie matematyczne i filologiczne kompetencje, a znacznie więcej jest matematyków, którzy wy-

[1] Opublikowane w *Wiadom. Mat.* 25 (1983), 143–150.

głaszają sądy o poprawności słów, zwrotów i terminów kierując się tylko poczuciem językowym. Ponieważ to poczucie jest różne u różnych osób, rzadko dochodzi do zgody, i nawet wspólne wymagania stawiane językowi przez ludzi tego samego zawodu nie prowadzą zwykle do tych samych rozwiązań, nawet wśród matematyków, chociaż właśnie oni używają języka do szczególnych celów i mają podobne kłopoty związane z przystosowaniem mowy naturalnej do swoich potrzeb.

Niech więc odezwą się tutaj różne głosy. Lepiej bowiem spierać się o język matematyki niż nie mówić o nim nic. Nie traktujemy tej konferencji ze zbytnią powagą. Niech to będzie usprawiedliwieniem tego, że w mojej pogadance niewiele będzie porządku, a sporo subiektywizmu.

Matematyk w Polsce wykłada po polsku, ale pisze po angielsku. Stanowi to zagrożenie dla polszczyzny matematycznej. W wykładzie lub odczycie mało zważa się na terminy. Można użyć słowa angielskiego, jeśli polskiego nie ma w pogotowiu, albo wymyślić na bieżący użytek termin byle jaki. Dopiero, gdy przyjdzie pisać podręcznik po polsku, trzeba się na coś zdecydować. Jeśli podręcznik się rozpowszechni, to termin się utrwali. Czasem trwa to bardzo długo. Przez wiele lat mówiło się „lattice" (czasem *struktura*), teraz już przeważnie *krata*. A „net" i dziś często bywa używane; wygodniejsze to od *ciągu uogólnionego*. Ta sytuacja będzie się utrzymywała i trzeba się z tym pogodzić, gdyż ogromna większość prac matematycznych na świecie ukazuje się po angielsku. Gorzej jest, gdy angielszczyzna manieruje język polski, a zdarza się i to; słyszę na przykład dość często: wystarczy „zaobserwować" (zamiast *zauważyć*) lub „z tej obserwacji wynika ...".

Terminy angielskie pochodzą przeważnie od Amerykanów, którzy obchodzą się z językiem bardzo nonszalancko. Cały świat ugiął się przed bezsensownym *dyfeomorfizmem*, co ma się kojarzyć z *homeomorfizmem*. Dla fonetyki poświęcono tu semantykę, która podsuwa „dyferomorfizm", słowo też ani piękne ani czyste, ale przynajmniej utworzone z sensem. Takim skrótom jak „dilation" lub „commutivity" (zamiast *dilatation* i *commutativity*) jeszcze nie ulegliśmy, ale nie wiadomo, co przyszłość przyniesie. Pod wpływem języka angielskiego powstały wyrażenia w rodzaju „k-wektor", „B-przestrzeń", bardzo rozpowszechnione w słowie i w druku. Są one używane także w innych językach, np. w rosyjskim. Nie używają ich Francuzi, gdyż „B-espace" byłoby tak samo niezgodne z francuskim słowotwórstwem, jak B-przestrzeń z naszym. Ale my używamy. Pewnie, że *przestrzeń B* może mylić, a *przestrzeń typu B* to dłuższe, ale lepiej trochę dłużej, a dobrze po polsku.

Niektóre błędy popełniane przez matematyków pochodzą ze złego obchodzenia się z językami antycznymi. Nie powinno się mówić „limesować", lecz *limitować* (tu rację mają urzędy finansowe, a nie matematycy), tak jak nie mówi się choroby „wenusowe", lecz *weneryczne*. W obu

wypadkach temat słowa (*limit*, *vener*) nie ujawnia się po łacinie w pierwszym przypadku, lecz dopiero w deklinacji. *Infimum*, chętniej używane niż dwuwyrazowy *kres dolny*, jest prawie przez wszystkich fałszywie akcentowane na drugiej sylabie zamiast na pierwszej. Zdarza się nawet *maksimum* z akcentem na *i* (lub *minimum*), co jest błędem tego samego rodzaju, ale gorszym, gdyż słowo „maksimum" nie jest tylko terminem naukowym, lecz należy do powszechnej polszczyzny, więc bardziej jeszcze zasługuje na ochronę. Dość częsty „analogon" jest co najmniej niewskazany: to rodzaj nijaki greckiego przymiotnika *analogos* (czyli *analogiczny*), a nie rzeczownik. Gorsze jeszcze są „analogony".

Matematycznych terminów rodzimych mamy więcej niż Francuzi, Niemcy lub Rosjanie. Niektóre są znakomite, jak *wielokąt* i *wielościan* (zamiast „poligonu" i „poliedru"), *dwusieczna*, *środkowa*, *przekątna*, *iloczyn*, *iloraz*, *wielomian* ... Trochę może gorsze *prostopadły* i *równoległy* dawno już dzięki szkole weszły do języka potocznego. Istnieją polskie terminy szacowne, w których odbija się historia, jak *liczby rzeczywiste*, *urojone*, *wymierne*. Przy okazji chciałbym zauważyć, że nie godzi się śmiać, gdy się czyta o wymiernych lub niewymiernych korzyściach (tj. nie dających się zmierzyć), tak jak słysząc o czyichś wzniosłych ideałach nie należy drwić pytając, czy te ideały są główne, pierwsze lub może niewłaściwe. To my jesteśmy dłużnikami naturalnego języka i obowiązuje nas skromność.

Oczywiście nie poświęcimy liczb *wymiernych* na rzecz „racjonalnych", ani *całki* lub *różniczki* w imię zasady uniwersalności, która obecnie przeważa, gdyż ułatwia obieg nauki przez granice, a nas zwalnia z obowiązku wymyślania terminów rodzimych. W XIX wieku uczeni polscy poczuwali się do takiego obowiązku. Owoce ich inwencji na tym polu nie zawsze mogą nas dziś zadowalać. Myślę o terminach „przepolszczonych". Za taki uważam np. *ciało*. Wprawdzie to słowo oznacza nie tylko ciało ludzkie lub zwierzęce (por. *ciało stałe* lub *ciało pedagogiczne*), ale z nim przede wszystkim się kojarzy. „Korpus" byłby lepszy. Zakres semantyczny słów *corps* lub *Körper* jest nieco inny niż słowa „ciało". Ale nic już tu nie poradzimy. Jeszcze gorsza od ciała jest *macierz*. To archaiczne słowo oznaczało matkę, a dzisiaj, używane tylko w przenośni, należy do sfery banalnego patosu. „Matryca" aż się prosi. Ale i na tę macierz jesteśmy już skazani.

Mamy niektóre bardzo dobre i na dobre utrwalone nazwy dla pojęć nowszych, np. *zwartość* lub też *ośrodkowość*, o ileż lepszą od oryginalnej *séparabilité*. Złych spolszczeń raczej nie mamy. Pojawiały się kaleki-potworki z niemieckiego w rodzaju *zbiorów nigdziegęstych* lub *przekształceń wiernokątnych*, ale zostały odrzucone. Tutaj przypominam sobie, że na jakimś zebraniu PTM wypowiedziano się za słowem „konformiczny", a nie „konforemny", chyba słusznie, gdyż „konforemny" kojarzy się z „foremny" czyli „kształtny".

Przed chwilą użyłem słowa *przekształcenie*, którego w naturalnej polszczyźnie nie ma, jak nie ma np. wyrazu *różniczkować*. W każdej dziedzinie język fachowy musi wykraczać poza gotowy zasób słów języka powszechnego. Jeśli neologizm nie obraża polskiej fonetyki ani zasad słowotwórstwa, można go przyjąć z czystym sumieniem. Czasem dotyczy to nie pojedynczych słów, ale zwrotów. Szczególnej wzmianki godzien jest zwrot „wtedy i tylko wtedy, gdy". Często nie zdajemy sobie sprawy z tego, jakie to obce naturalnej mowie i niezrozumiałe dla większości ludzi. Czuli to Francuzi i bronili się bardzo długo przed „si et seulement si". Ośmielili się tak pisać chyba dopiero bourbakiści. Bez „wtedy i tylko wtedy" trudno byłoby się całkiem obejść, ale należy stosować ten zwrot z umiarem i tylko tam, gdzie jest naprawdę potrzebny, a nie na przykład w definicjach. Nie powinno się mówić, że *funkcję nazywamy ciągłą wtedy i tylko wtedy, gdy dla każdego* $\varepsilon > 0$..., bo jeśli opuścimy słowa „i tylko wtedy", definicja będzie tak samo jasna i nikt nie pomyśli, że funkcja nazywa się ciągła także w jakichś innych, utajonych przypadkach.

Nie zawsze język wykładów jest dostatecznie staranny; chodzi tu także o „język tablicy". Widzę często implikacje napisane w formie ..., *to* ..., bez słowa *jeśli*. Piszemy na tablicy skrótami, ale nie powinno się pisać niegramatycznie. To demoralizuje słuchaczy nie zawsze oswojonych z językiem matematyki. Na przykład, skoro już o implikacji mowa, przypomnijmy sobie, jak często uczniowie, a nawet młodsi studenci wyrażają ją w formie „jeżeli ..., więc ...". Implikacje, z którymi mamy do czynienia w matematyce, różnią się formalnie od zdań warunkowych zwykle używanych potocznie, w których najczęściej występuje czas przyszły, a nie teraźniejszy. Stąd błędy, a dla nas wskazanie, by nie lekceważyć formy słownej. Nagminnie pojawia się u wykładających forma „jeżeli ..., to z tego wynika ...". Mówi się tak pisząc jednocześnie implikację na tablicy. Ponieważ pisanie trwa dłużej niż mówienie, wypełnia się czas dodatkowym „z tego wynika". Oczywiście tak zbudowane zdanie ma sens, ale różny od zamierzonego, znaczy bowiem, że przy wnioskowaniu trzeba się oprzeć na argumencie bezpośrednio poprzedzającym wysławianą implikację, a nie tylko na jej poprzedniku. Niektórzy mają też tendencję do opuszczania słowa „taki". Słyszymy wtedy zdania w rodzaju „wybieramy liczbę, że ...".

Fatalne wzory językowe daje często szkoła, nie tylko pod względem gramatycznym. Przesadne i nieumiejętne wpajanie uczniom rzekomo precyzyjnej mowy prowadzi do dziwacznych sformułowań, na przykład, wychodząc z założenia, że każde twierdzenie musi mieć postać jawnej implikacji (wciąż ta implikacja!), pisze się w podręcznikach, a więc zapewne i mówi się uczniom tak: *jeśli czworokąt jest równoległobokiem, to boki przeciwległe ma równe* albo: *jeśli wielokąt jest trójkątem, to suma jego kątów wynosi* 180°.

Bywa i gorzej: niektóre zadania rozpoczynają się od słów: *wybierz dwa różne punkty na okręgu*, jakby istniało na świecie dziecko, które słysząc polecenie „wybierz dwa punkty" wybierze jeden i powie, że to dwa. Karny wychowanek takiej szkoły powinien mówić, że „naprzeciwko idzie ulicą dwóch różnych pąnów", a nawet, że „idzie zbiór złożony z dwóch różnych panów", bo o zbiorach mówi się gdzie trzeba i nie trzeba. Dostrzegane już dzisiaj „przemnogościowienie" programu szkolnego manieruje język. Są szkoły, gdzie nie wolno mówić, że *punkt leży na prostej*; nie, on *należy do prostej*. To zabijanie intuicji i jej słownego wyrazu idzie w niedobranej parze z przesadną wizualizacją, to jest objaśnianiem prostych pojęć i twierdzeń na rysunkach, często z konieczności nieadekwatnych i w dodatku niewyraźnych wskutek lichej grafiki. Ale tu już wykraczam poza właściwy temat.

Raczej zwróćmy się ku terminom, które wpaja się uczniom. Ogólnie uważa się, że terminologia szkolna powinna być ujednolicona, choć nikt nie domaga się, i słusznie, by skodyfikować terminy matematyczne „dla dorosłych" i zabronić drukowania innych. Tę zasadę unifikacji w szkole można zrozumieć, ale nie powinno się jej traktować zbyt rygorystycznie. Dlaczego nie powiedzieć uczniom, zwłaszcza wyższych klas, że te same rzeczy bywają różnie nazywane? Należy podać niektóre terminy w brzmieniu zrozumiałym na całym świecie, jak *paralelny*, *perpendykularny*, *diagonala* ... A nie należy sztucznie tworzyć terminów na użytek szkolny, których się w nauce nie używa, takich jak *podzielnik* (dla odróżnienia od *dzielnika* przy dzieleniu). Obawa przed terminami o obcym brzmieniu prowadzi czasem do tworzenia dziwolągów, jak „*a* dodać *b* równa się *c*". Czy naprawdę „*a* plus *b*" to dla dziecka trudniejsze? W dodatku takie niewydarzone formy zostają uczniom na całe życie. Są nawet matematycy mówiący „dodać" zamiast „plus". Kiedy to słyszę, wydaje mi się, że kolega przy tablicy zaczyna szczebiotać.

Różne rozpowszechnione dziś deformacje języka nie ominęły matematyków. Chodzi mi tu przede wszystkim o zmiany zwykłego sposobu wyrażania się na rzadszy, bardziej uroczysty, cięższy i z reguły wymagający większej liczby słów lub choćby tylko sylab. Źródłem i oparciem dla takiego języka jest prasa i telewizja. Zamiast „w zeszłym roku" mówi się już od dawna „w ubiegłym", zamiast „pięć razy więcej" jest „pięciokrotnie więcej", zamiast „zbadać" — „przeanalizować" (to już nieznośne). Chcąc powiedzieć, że *10-go czerwca odbyła się narada*, mówi się „w dniu 10-go czerwca", bo to brzmi dostojniej, choć niegramatycznie; jeśli ktoś już chce mówić uroczyście, powinien powiedzieć „w dniu 10-ym czerwca", ale mało kto tak mówi.

Do tego typu wydłużeń mowy można zaliczyć zdania postaci „jakakolwiek by nie była droga, całka będzie taka sama". Błędne „nie" w tym wyrażeniu ma swoją historię. Źródłem tego błędu jest rosyjska cząstka

„ni" w zdaniach typu „kakaja b ona ni była", co zrodziło warszawski fonetyczny rusycyzm „jaka by ona nie była", który rozlał się na całą Polskę. Można to wytłumaczyć tym, że to łatwiejsze od poprawnej, ale raczej literackiej niż kolokwialnej formy „jakakolwiek (lub jaka bądź) byłaby". Ponieważ jednak do takich form chętnie się dziś sięga, więc wróciło „jakikolwiek" (w gazetach używane często zamiast „żaden"), ale zostało „nie", chociaż jest nielogiczne i nie występuje w takiej roli chyba w żadnym języku, a *Świteź* Mickiewicza nie zaczyna się od słów „Ktokolwiek nie będziesz w nowogródzkiej stronie..." Matematycy często potrzebują słów „jakikolwiek" lub „jakkolwiek", a nie zawsze poprawnie ich używają. Dlatego rozgadałem się na ten temat.

Teraz jeszcze o stopniowaniu przymiotników. Ginie ono w oczach. Tyle wieków minęło i nagle jedna krowa okazuje się „bardziej ciężka" od drugiej, jeden dowód „bardziej trudny" od drugiego. Wygląda to jak przekalkowane z orwellowskiego *new-speaku* — tam też nie było stopniowania przymiotników. To „bardziej" wydłuża zdanie, a mowę czyni bardziej (no tak, czasem trzeba) schematyczną i monotonną. W schematyzm i monotonię wpada się nieuchronnie, jeśli się ucieka od barwnej prostoty zwykłych słów. Nie dajmy się!

Kończę oświadczeniem, że wytykając kolegom błędy językowe wcale nie twierdzę, jakoby matematycy popełniali ich więcej niż inni ludzie. Przeciwnie, mówią lepiej niż większość ludzi w Polsce, ale na nas ciąży szczególna odpowiedzialność za to, co mówimy i jak mówimy.

I wreszcie w posłowiu: wrocławskie środowisko matematyczne zostało stworzone przez B. Knastera, E. Marczewskiego, H. Steinhausa i W. Ślebodzińskiego. Wszyscy oni wielką przywiązywali wagę do czystości języka. Najbardziej zabiegał o nią Steinhaus, strofując nas za błędy, a szczególnie nie znosił i smagał dowcipną ironią owo gazetowe rozwlekanie mowy i zastępowanie prostych określeń wyszukanymi szablonami. Wtórował mu Marczewski, autor artykułu „Czar twoich słówek". Knaster czuwał nad publikacjami i łatwo było narazić się mu źle użytym słowem albo niezręcznym zwrotem. Ślebodziński, najłagodniejszy, sam tylko dawał przykład pięknego polskiego stylu.

Dlatego miło nam, że ta konferencja odbywa się właśnie u nas.

Zygmunt Saloni (Warszawa)

O przestrzeganiu norm językowych

Jaki powinien być stosunek świadomego użytkownika języka do normy językowej? Tzw. ogół użytkowników języka jest zdania, że reguły obowiązujące w danym języku i opisane przez językoznawców specjali-

zujących się w kulturze języka muszą być przez ogół piszących (i mówiących?) respektowane bezwzględnie i bez dyskusji. Głosy takie słyszeliśmy i na obecnej konferencji Niektórzy spośród uczestników apelowali, aby trudniejszymi problemami językowymi, w których matematycy nie mogą osiągnąć jednomyślności, zajęli się językoznawcy, a także aby rozwiązanie pewnych problemów „zaproponować raz na zawsze".

Utopijność ostatniego postulatu jest oczywista. Jeśli zdecydujemy coś dziś, to nie możemy przewidzieć, czy nasze rozstrzygnięcie nie wejdzie w kolizję z czymś innym jutro i czy nie będziemy zmuszeni go zmienić.

Istotniejszą sprawą jest to, czy kwestie sporne w zakresie tych sfer użycia języka polskiego, które są ważne dla matematyków, mogą rozstrzygnąć językoznawcy. Tu nasuwa się pytanie szersze: Czy kwestię sporną w jakimś środowisku można rozstrzygnąć drogą kodyfikacji na zewnątrz tego środowiska? W dyskusji na konferencji zwrócono uwagę na to, że istnieje na przykład polska norma podająca podstawowe oznaczenia matematyczne. Siła oddziaływania zawartych w niej rozstrzygnięć i ustaleń jest znikoma. Matematycy norm po prostu nie czytają i z tej przyczyny nie mogą się do nich stosować. To samo odnosi się do ustaleń rozmaitych komisji terminologicznych, firmowanych przez najbardziej szacowne instytucje krajowe i międzynarodowe. Autorytety nic nie wskórają, jeśli ich decyzje nie będą znane i uznane.

O sposobach wypowiadania się czy pisania przyjętych w danym środowisku powinno decydować to środowisko. Tutaj zaś bardzo silne jest oddziaływanie jednostek i zespołów cieszących się autentycznym autorytetem.

Podejmując decyzje szczegółowe, jak wyrazić się w określonej sytuacji, czy ogólne, jak wyrażać się w pewnej sytuacji typowej, matematycy powinni działać świadomie — przynajmniej znać argumenty przemawiające za podejmowanymi decyzjami oraz przeciw nim. Jednym z typów argumentowania jest zaś odwoływanie się do opinii fachowych, zawartych w słownikach i poradnikach językowych. Językoznawcy są na pewno lepiej zorientowani w rozmaitych uwarunkowaniach i powiązaniach faktów językowych.

Czy jednak do ich opinii odnosić się bezkrytycznie? Redakcja *Wiadomości Matematycznych* wyraziła niedawno opinię, że piszący po polsku powinni znać zalecenia normatywne i stosować się do nich, chyba że się z nimi z ważnych powodów nie zgadzają. Opinię tę, niezbyt zresztą popularną, i ja podzielam.

Oczywiście, jeśli do normy nie stosujemy się świadomie, nie popełniamy błędu. Za błędy nie uznamy na przykład straszliwie nieortograficznych napisów angielskich wprowadzanych dla żartu w niektórych pismach amerykańskich, zwłaszcza w reklamach (ostatnio widziałem *towite*).

Ale przyjrzyjmy się kilku przykładom polskim. Będę się w nich odwoływał przede wszystkim do własnego doświadczenia.

Jedną z ważnych zasad dobrego pisania jest precyzyjne używanie wyrazów: w znaczeniu w miarę możności ścisłym, jak najmniej rozmytym. Dlatego duża część poradnictwa językowego dotyczy właśnie rozgraniczenia znaczeniowego wyrazów bliskoznacznych. Wydawnictwa poprawnościowe radzą na przykład rozróżniać znaczenia wyrazów *liczba* i *ilość* w użyciach potocznych. *Słownik poprawnej polszczyzny* PWN definiuje więc:

liczba 1. «pojęcie, którego treścią jest wynik liczenia wyrażony zwykle cyframi» 2. «stan liczebny»: Liczba (*nie*: ilość) pracowników, książek, wypadków (*ale*: ilość mąki).

ilość «miara, wielkość tego, co może być mierzone lub ważone (*nie*: liczone)»: Ilość wody, mąki, cukru. Ważna jest jakość, nie ilość. △ *niepoprawne* w zn. «liczba», np. Ilość (*zamiast*: liczba) mieszkańców osiedla rośnie z roku na rok.

Chociaż dążenie do podobnego rozgraniczenia wyrazów uważam za słuszne, często nie stosuję się do zacytowanych zaleceń. Zajmuję się gramatyką języka polskiego i *liczba* to dla mnie jeden z podstawowych terminów. Połączenia *liczba pojedyncza* i *liczba mnoga* oraz *liczba* bez dodatkowego określenia (na oznaczenie opozycji), np. *liczba rzeczownika*, w pisanych przeze mnie tekstach występują często. A może się zdarzyć, że zastanawiam się na tym, ile jednostek opisywanych ma daną własność. Możliwe odpowiedzi: 1, 5 czy około 1700 — wskazują na to, że w podanych sytuacjach powinienem mówić o liczbie takich jednostek, np. o liczbie rzeczowników w danym tekście. W tym jednak wypadku używam wyrazu *liczba* w znaczeniu innym od terminologicznego. Wystąpienie zaś tego samego wyrazu w dwu różnych znaczeniach w bliskim sąsiedztwie jest rzeczą wysoce niepożądaną.

Wyraz *liczba* traktuję więc jako w zasadzie zastrzeżony dla terminologicznego znaczenia językoznawczego. Staram się o to, aby w tekście, w którym jest m.in. mowa o liczbie gramatycznej, nie pojawił się on w innym znaczeniu Jeśli więc rozważam to, ile jest rzeczowników, piszę bez wahania: *ilość rzeczowników* — wbrew zaleceniom wydawnictw poprawnościowych.

Zwróćmy uwagę na to, że wyżej napisałem: „w tym wypadku". *Wypadek* i *przypadek* to także para wyrazów bliskoznacznych, których znaczenie językoznawcy rozgraniczają (co prawda, nie tak jaskrawo). W wariancie polszczyzny używanym przeze mnie (fachowo, w moim *idiolekcie*) w znaczeniu „zdarzenie" albo „jedno z możliwych zdarzeń po danym stanie" występuje rzeczownik *wypadek*. Bo dla gramatyka *przypadek* to również termin zastrzeżony.

Przejdźmy z kolei do czystej gramatyki.

Przed 20 laty zorientowałem się, że używany wówczas *Słownik poprawnej polszczyzny* Stanisława Szobera w opracowaniu Witolda Doroszewskiego potępia jako niepoprawne połączenia *ilu ludzi*, *tylu ludzi*, *wielu ludzi*, których ja spontanicznie używałem. Takie samo stanowisko zajmował Witold Doroszewski w książce *O kulturę słowa*. Szober i Doroszewski reprezentowali tu normę starszą, ja — nowszą. System gramatyczny współczesnej polszczyzny dostarczał mocnych argumentów za moimi formami. I choć początkowo w polemice Doroszewski nie uznał mych racji, to w nowo opracowanym *Słowniku poprawnej polszczyzny PWN* pod redakcją jego oraz Haliny Kurkowskiej połączenia *ilu, tylu, wielu — ludzi* zostały już dopuszczone. A gdyby rzecz rozstrzygnięto raz na zawsze? A gdyby trzymać się raz przyjętego ustalenia?

I na końcu — ortografia.

Ostatnio redaktorka opracowująca mój maszynopis zaproponowała mi konsekwentne wprowadzenie zmiany typu: zamiast *1. osoba — 1 osoba*. „Wiem — powiedziała, że Pana zapis jest zgodny z przepisem ortograficznym o pisaniu liczebników porządkowych liczbami arabskimi, ale przecież ogólnie stosuje się pisownię bez kropki". Zgodziłem się.

Na konferencji dano też przykład wyrażenia *wtedy i tylko wtedy*. Redaktor nie mający doświadczenia w pracy nad tekstami matematycznymi dostawi w nim przecinek przed *i*, powołując się na przepisy ortograficzne. Tymczasem w tekstach matematycznych nikt przecinka w tym miejscu nie stawia.

Więc nawet mające najwyższy stopień kategoryczności przepisy ortograficzne mogą być świadomie nie respektowane.

A przepisów ortograficznych może nie przestrzegać nawet administracja państwowa. W r. 1959 czytelnik *Języka Polskiego* pisał: „W Krakowie na tabliczce orientacyjnej z oznaczeniem nazwy ulicy (dawnej Jabłonowskich) czytamy «Ulica Stanisława Ziaji». Czy taka jest poprawna pisownia dopełniaczy nazwisk *Leja, Ziaja*?" Odpowiedź brzmiała oczywiście: „Nie". Mimo to w r. 1984 widziałem w Krakowie tabliczkę z napisem „Ul. Stanisława Ziaji". Wątpliwości budzi tylko to, czy naruszenie normy jest tu świadome. Za tą interpretacją przemawia jednak w tym wypadku upór i konsekwencja czynników odpowiedzialnych za napis.

Niewątpliwie w pełni świadoma, że nie stosuje się do nowych przepisów, była natomiast Maria Dąbrowska, gdy do końca życia podpisywała się „Marja Dąbrowska". Oczywiście działała z pozycji siły: Komitet Ortograficzny nie był dla niej władzą, nie mógł jej niczego narzucić. Wiedziała, że nikt jej nie zarzuci niechlujstwa językowego, tylko — co najwyżej — indywidualizm.

Ocena złamania normy ortograficznej może być różna w zależności od wagi łamanego przepisu i od celu naruszenia go. Przepisy dotyczące zagadnień drugorzędnych mogą nie być respektowane przez świadomego

użytkownika jako niezgodne z praktyką, nie dostosowane do innych punktów kodyfikacji, stwarzające niepotrzebny zamęt. Dobrymi przykładami może tu być pisownia wyrazów przejętych z języków obcych (por. zalecane *dżez*, *dżet*, *kosinus*) czy nazw firmowych wyrobów przemysłowych.

Nad tym ostatnim problemem dyskutowano długo. W końcu, chociaż praktyka nie była tu ustabilizowana, Komisja Kultury Języka Komitetu Językoznawstwa PAN zdecydowała, że nazwy takie należy pisać małą literą i bez cudzysłowu (por. zalecane: *Uszkodzeniu uległa warszawa i wołga*). Nic więc dziwnego, że część piszących po polsku nie była skłonna zastosować się do tej decyzji. Uległszy naciskowi użytkowników, wprowadzono bowiem przepis zbyt drobiazgowy, podczas gdy można było pozostawić rzecz nie rozstrzygniętą, uznawać każdą pisownię za dopuszczalną. Polskie przepisy ortograficzne są bowiem nie tylko zbyt rygorystyczne, ale także zbyt szczegółowe. Ale to już oddzielny temat.

Czy znaczy to, że nie uznaję norm i propaguję anarchię językową, opowiadam się za nierespektowaniem reguł skodyfikowanych w przepisach ortograficznych oraz zaleceń innych wydawnictw poprawnościowych?

Podkreślmy tu, że zalecenia te, choć ogólnie znane, nie mają właściwie mocy obowiązującej. Ich przestrzeganie opiera się tylko na dobrej woli użytkowników języka, odwołującej się już to do ich argumentacji, już to do powagi osób, które je sformułowały. Dlatego też zalecenia dotyczące stosowania środków językowych mogą być traktowane jako sądy wartościujące. Zawarte w nich oceny powinny być, moim zdaniem, odbierane z niższym stopniem kategoryczności niż ma to miejsce obecnie. Dlatego też lepiej nazywać je nie regułami czy zasadami, lecz *postulatami*.

Uważam, że niestosowanie się do nich może być usprawiedliwione tylko wtedy, gdy przemawiają za nim argumenty mocniejsze niż za samymi postulatami normatywnymi. A z takim uzasadnieniem zdarza się łamać i inne normy. Rozważanie wypadków naruszania prawa karnego doprowadziłoby nas do złożonych problemów etycznych, weźmy więc bardziej codzienny przykład niestosowania się do przepisów ruchu drogowego. Posłużę się tu opisem zdarzenia, które dobrze może zilustrować to, w jakich wypadkach dopuszczam nierespektowanie zaleceń wydawnictw poprawnościowych.

Byłem kiedyś na wycieczce autobusem po miasteczkach południowych Czech. Kierowca nieopatrznie wjechał w plątaninę średniowiecznych uliczek, w której kluczył z takim trudem, że stało się to obiektem zainteresowania wszystkich pasażerów. W pewnym momencie znalazł się przed zakazem wjazdu w ulicę jednokierunkową. Szybko ocenił, że swoim pojazdem nie ma możliwości żadnego innego manewru, i śmiejąc się ruszył pod prąd.